

东

方

观

察

प्राच्यविद्या पत्रिका

مجلة الاستشراق

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE
PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

WARSZAWA

KWARTALNIK

3(119)

1981

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

- Barbara Grabowska, *Poetyka wisznuicka w liryce Gobindodasza* 213
Stanisław Piłaszewicz, *Obraz zderzenia kultur w prozie hausańskiej* 223
Danuta Madeyska, *Historia i legenda w „Siracie Zat-al-Himma”* 233

UTWORY LITERACKIE

- Ibn al-Mukaffa, *Opowieści* (z arabskiego przełożył Janusz Danecki) 247
Z tunguskiego Parnasu (przekład Jerzego Tulisowa) 251
Ahmad Mahmud, *W drodze* (z perskiego przełożyła Maria Nassalska) 255
Karim Misak, *Obrona* (z dari przełożył Bohdan Bielkiewicz) 259

MATERIAŁY I SPRAWOZDANIA

- Tadeusz Szparag, *O tradycyjnych chińskich planach strategicznych* 263
Zofia Józefowicz-Czabak, *Przemiany społeczno-kulturalne w perskiej poezji współczesnej* 268
Bożenna Chylińska, *Mit i rytuał a dramat* 275
Tomasz Federowicz, *Z problematyki rozwoju współczesnego języka hebrajskiego* 279
XXIV Zjazd Orientalistów Polskich 281

RECENZJE

Z KSIĄŻEK

- Joanna Mantel-Niecko, *The Role of Land Tenure in the System of Ethiopian Imperial Government in Modern Times* (Stanisław Piłaszewicz) 287
Masayoshi Ohira, *Brush Strokes. Moments from my Life* (Ewa Pałasz-Rutkowska) 288
J. I. Crump, *Chan-Kuo Ts'e* (Mieczysław J. Künstler) 292
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE 292
Z CZASOPISM 295

KRONIKA

- Z ruchu naukowego na polu orientalistyki
Wizyty zagranicznych uczonych w Polsce 303
Kronika naukowa 303
Działalność PTO 306
Kronika kulturalna 306
Stosunki Polski ze Wschodem 307

*

- Omar Chajjam, *Rubajjaty* (z perskiego przełożyła Barbara Majewska) 222, 232

AHMAD MAHMUD

W DRODZE

W oddali Doulatabad drżał w rozgrzanym powietrzu. Zdawało się, że mury i domy unoszą się nad ziemią. Wysoka wieża wentylacyjna ośrodka zdrowia jak żywa wyginała się na wszystkie strony.

Wiatr gnał górą, drzewa zaś wyciągały gałęzie, próbując go dosięgnąć swymi delikatnymi dłońmi.

Szosa miała barwę ołowiu, dalej przechodziła w łagodną biel drewna. Walące się szalasy, przycupnięte tu i ówdzie na pustyni, uciekały wzdłuż drogi. Za motocyklem wzbijały się kłęby kurzu. Metaliczny warkot silnika obco brzmiał na pustyni.

Na zboczu niewysokiego pagórka koła zabuksowały w sypkim piasku. Wiatr spłynął na pustynię znad drzew przydrożnych i wzniósł chmurę pyłu. Zahamowałem i włożyłem okulary ochronne. Pustynia pociemniała. Zjechałem ze wzniesienia. Z daleka dostrzegłem sylwetkę mężczyzny, który wyłonił się z cienia drzewa i podniósł rękę. Podjechałem bliżej i zatrzymałem się.

— Jedziesz do Doulatabadu? — zapytał.

— Jadę.

— Weźmiesz mnie z sobą?

— Wskakuj.

Podciągnął nogawki szarawarów i usiadł na tylnym siodełku. Motor ruszył gwałtownie.

Twarz mężczyzny utkwiała mi w pamięci; oczy podłużne, wąskie i głębokie niby bruzdy na chłopskich nogach, wypukłe czoło, włosy jak stary wołok... nie pamiętam dokładnie, ale włosy chyba wyrastały mu tuż nad brwiami. Był ogorzały. Ust w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć.

Widziałem go właściwie tylko przez chwilę, gdy stał na poboczu. Raczej krępy, w szerokich szarawarach z czarnej satyny, w białej przybrudzonej koszuli. Na piersi spod rozpiętego kołnierzyka sterczały siwe włosy... ale jakie miał usta?

— Jak się nazywasz? — spytałem.

Wiatr porwał moje słowa. Poszarpał wyrazy i cisnął mimo uszu mężczyzny tak, że ten nie zrozumiał, o co pytałem.

Powtórzyłem:

— Jak się nazywasz?

Zbliżył usta do mojego ucha i krzyknął:

— Co mówiłeś?

— Pytałem jak się nazywasz.

— Jak ja się nazywam?

— No?

— Mustan.

Wciąż nie pamiętałem, jak wyglądały jego usta. Wyobrażałem sobie, że powinny być duże i szerokie, ze spękanyymi, stwardniałymi wargami.

Szosa była teraz gliniastą drogą, która za zakrętem zagłębiała się w szerokim wąwozie. Nasze głowy znalazły się w cieniu — jechaliśmy wzdłuż stromej, spadzistej ściany. Nagle motor podskoczył na wyboju, rzuciło nas i usłyszałem jęk Mustana.

— Co ci? — spytałem.

Nie usłyszał. Warkot motoru biegł tuż przed nami wzdłuż wąwozu. Słońce lało się z góry jasno oświetlając prawą jego ścianę, a nierówne dno z daleka zdawało się dwubarwne: cytrynowo-żółte i żółtoszare.

Powtórzyłem:

— Co się stało? — wiatr wypełnił mi usta.

— Brzuch.

Zahamowałem, zsiadłem z motoru i przyjrzałem się jego ustom — miał zajęczką wargę. I zaropiałe kąciki oczu.

— Co z brzuchem?

— Boli nad pępkiem.

— I dlatego jedziesz do Doulatabadu?

— Jadę, żeby doktor zobaczył, co mi jest.

— Dawno ci to dokucza?

— O, dawno, od dziecka, to stary ból.

Szary jak ziemia skowronek śmignął w locie, przysiadł na drodze kiwając ogonkiem, potem odfrunął. Do mych uszu uwolnionych wreszcie od warkotu silnika dotarł szelest suchych krzaków pustynnych. Nad głową mężczyzny wyciągając szyje przeleciały z ciężkim łopotem skrzydeł dwa dropie. Utkwiły mi w oczach kropki na ich brzuchach i skrzydła, które w słońcu wyglądały jak z żółtego, lśniącego jedwabiu.

— Silnik się popsuł? — spytał Mustan.

— Nie.

— No to czemu nie jedziemy?... Muszę szybko wracać do ogrodu.

— Wsiadaj.

Za wąwozem solankowa ziemia lśniła bielą. Niedaleko wznosiła się trąba powietrzna wzbijając tuman kurzu. A za słupem pyłu widać było Doulatabad, którego ściany i domy stały już teraz na ziemi, a wysoki wentylator ośrodka zdrowia sterczał nieruchomo na tle nieba.

- Z jakiej wsi jesteś? — spytałem Mustana.
- Z Mula.
- Jak z plonami w tym roku?
- Bóg zapłać, nieźle.

Potem się rozgadał. Wiatr chwycił jego słowa, które trzepocząc wpa-
dały mi do uszu.

— ...Maszyna była w polu... sadziliśmy arbuzy... ból chwycił... nad
pępkiem, powiadam... zmogło mnie... powiedziałem: pojedę do ośrodka...
sadziliśmy mechanicznie... w tym roku urodzaj... — i mówił dalej, a mnie
wiatr świszczął w uszach. Słona ziemia umykała wślizgując się pod pysk
motoru. Niebo miało kolor ołowiu, lekko zamglone z czerwonymi i żół-
tymi żyłkami. Blask słońca zalewał pustynię pozbawioną skrawka cienia.

Słowa mężczyzny brzmiały mi w uszach. Już wiedziałem, że ma
dwóch synów i córkę, że „wcześniej, gdy jadł śniadanie w szałasie” nagle
chwycił go ból, zresztą to stara dolegliwość, i że tym razem nie wy-
trzymał i wybrał się do ośrodka. „...ot, po prostu; zostawiłem nakrycie
na ziemi, czajnik na palenisku... poszedłem. Maszyna była w polu... gdy
wróciłem... lekarstwa, które wziąłem... żona w ciąży”..., a jego żona, która
była w ciąży niepokoiła się. Łączyłem strzępy słów rozrywane przez
wiatr i wiedziałem już, że chce posłać dziecko do szkoły w Anbaraba-
dzie, że dochody z tegorocznych plonów nie wyrównują zeszłorocznych
strat „zeszły rok był nieurodzajny, czarny i suchy...”, a w tym roku gdy
wykopali studnię, dzięki Bogu jest lepiej. Żądła spragnionych rur żelaz-
nych jak pijawki ssały z żył ziemi... ludzie, którzy całe życie musieli
płacić za wodę, wreszcie zaznali ulgi...

Żółty tuman, który włókł się po ziemi sypnął mi nagle w twarz go-
rącym piaskiem. Zahamowałem. Mustan spytał:

- Co się stało?
- A nic.
- Zmęczyłeś się?

Zsiadłem z motoru, Mustan też. Postawiłem motor na nóżkach i prze-
tarłem okulary. Znowu zapytał:

- Zmęczyłeś się?
- Nie.
- Maszyna stoi w polu.
- Niech stoi.
- Idę się odlać.

Odszedł nieco od szosy, podciągnął nogawki szarawarów i przykucnął
przy niewielkim pagórku.

Zostawiłem motor i poszedłem usiąść w cieniu starego drzewa przy
drodze. Jeszcze mój cień nie zdążył się wtopić w cień drzewa, gdy usły-
szałem jęk Mustana. Był do mnie odwrócony plecami. Raptem podsko-
czył jak piłka i zwałił się na ziemię.

Podbiegłem.

— Co się stało? — przykucnąłem przy jego głowie.

— Żmija! — żmija ukąsiła go w stopę.

— Pali mnie. Umieram.



Kiedy do niego podbiegłem, już był siny, język miał wysunięty jak u spragnionego psa. Zanim przy nim usiadłem, już krew kipiała mu z dziąseł. Bałem się wziąć go za rękę, ująć pod plecy i posadzić. Zupełnie jakby jego wargi stały się żądłem żmii.

— Cierpię — nie powiedział, lecz wyszcząkał. — Cierpię, zrób coś, pali mnie wątroba!

— Co mam zrobić, Mustanie?

Jego głos drżał:

— Ośrodek.

Chwyciłem go pod pachy, spróbowałem podnieść. Ciężki był jak ołów. Wlokłem go po ziemi razem z czepiającymi się roślinami, wreszcie oparłem o pień drzewa.

— Jak ci, Mustan?

Nie odpowiedział. Charczał.

— Mustan! — krzyknąłem i potrząsnąłem nim.

Krew sączyła się z jego dziąseł i zasychała na kremowobiałych wargach. Piana ciekła z rzeżącego gardła. Dłużej nie mogłem na to patrzeć. Odwróciłem wzrok na pustynię, gdzie było słońce i słona ziemia i wrosnięte w ziemię mury Doulatabadu i... wiatr, który wirował, krążył i znów atakował.

Z perskiego przełożyła
Maria Nassalska